



„Ecce homo“ i Zaratustra

I. NADCZŁOWIEK I KULTURA.

Już sam tytuł książki o sobie: *Ecce homo*, jest bluźnierstwem. Nietzsche, ten lew odwagi, umiejący być, gdy potrzeba, wielbłądem duchowych brzemion, trudnych problematów, nie od razu odważył się na ogłoszenie swych wyznań. Wahał się, czyby nie nakazać, ażeby je wydrukowano dopiero w czterdzieści lat po jego śmierci. Tymczasem nadsięgnęła chmura obłąkania; rękopis dostał się do rąk profesora bazylejskiego Overbecka i po jego śmierci wydrukowany został.

Nietzsche chciał tą książką rzucić na okół przerażenie; jednak zgroza ta bardzo rychło i łatwo przechodzi w rodzaj uspokojenia. *Ecce homo* jest bowiem bezcennym kluczem do zawilej i przebogatej umysłowości tego potężnego pisarza. Tyle usuwa wątpliwości, tak godzi pozorne a niezliczone i niepokojące sprzeczności w pismach jego, że przebiega się stronicę z uczuciem rozpraszenia się mroków. Jakby słońce zajrzało nagle do zakamarków, do labiryntu całego, i pozwoliło sprawdzić wszystką ich treść. Zarazem nadstępione zostaje ostrze lisich domysłów i perfidyjnych tłumaczeń, że twórca Zaratustry późniejsze swoje, bliższe katastrofy, dzieło już jako niezupełny władca swoich zmysłów pisał. Ci, co znajdują szczególną satysfakcję i zemstę w tem, że mogą dopatrywać się w niektórych jego pismach zaczątków obłądu, tu ową rozkosz mają grubo nadwątloną. Autobiografia świeci prosto, jarzy się przenikliwą logiką i jasnością. Jest w niej jakaś tragiczna determinacja, stanowczość tonu i rytmu, niezawodna celność i celowość słowa, potoczystość strumienia, który po wielu załamach i przegubach płynie z pięknym rozpędem i prostolinijnością wyswobodzonego żywiołu. Jest w niej i płas krotochwilny najwyższej potęgi zrozumienia siebie i ostateczne odizucenie i podeptanie wszel-

kich hamletyzmów. Dowcip i subtelność wystąpienia tu doszły do najwyższego wyładowania i wybuchu. Lapidarność i zwięzłość zyskały znamiona jakoby przeznaczeniowej konieczności.

Dla czytelnika zasadniczo usposobionego niezyczliwie a więcej jeszcze dla płytkiego, w *Ecce homo* nie brak dowodów jednakże i zwaryowania.

„Może wogóle nie stworzono nic nigdy z podobnego nadmiaru siły. Moje pojęcie „dyonizyjskości“ stało się tu najwyższym czynem; w porównaniu z niem cała reszta ludzkiej działalności wydaje się ubogą i warunkową. Że taki Goethe, Szekspir ani przez chwilę nie umiałby oddychać wśród tej niezmiernej namiętności i wyżyny, że Dante wobec Zaratustry jest tylko wyznawcą a nie kimś, kto prawdę tworzy, duchem rządzącym światem, przeznaczeniem, że poeci Wedy to kapłani i nawet nie zdolni rozwiązać rzemyka u obuwia Zaratustry, to rzecz najmniejsza, i nie daje zgoła pojęcia o odległości, o lazurowej samotności, w jakiej to dzieło żyje!”

Główne rozdziały książki mają następujące nagłówki:

„Dlaczego jestem tak mądry“. „Dlaczego jestem tak rozumny“. „Dlaczego tak dobre książki piszę“. „Dlaczego jestem przeznaczeniem“

Sto razy Nietzsche mówi o swoim niedosiężnym geniuszu, o tem, co zdziałał dla stylu, poezji, prozy niemieckiej, filozofii, psychologii. Każdemu łowcy śmieszności i znamion nieczytalności daje już nie broń do rąk, ale całą zbrojownię. Sprawę odsądzenia siebie od czci i rozumu aż nazbyt czytelnikowi ułatwia, i subtelniejsza natura powinna by zatroszczyć się wobec tej podejrzananej prostoty zadania i zapytać, czy czasem Nietzsche nie jest sam świadom swego samochwalstwa i czy w niem nie zarzuca wędki ukrytej ironii. Bo mówi o swojej wędce wyraźnie i daje do zrozumienia, że mógłby być równie niebezpiecznym rybakim, jak „Ktoś“, — nie mówi kto, lecz antychrystycznie natrąca...

Taki sam, subtelniejszy czytelnik musi być uderzony tonem tych samowywyższeń. Nie są to brutalne, płaskie, junkierskie przypinania sobie orderów i odznaczeń, lecz bystre rzuty charakterystyki, definicje i porównania. Nietzsche nie darmo mówi o sobie jako o wielkim psychologu. W każdej wzmiance o swoich dziełach podaje komentarz nieoceniony i nową linię do swego portretu „niszczyciela“, „burzyciela“, „ucznię Dionyzosa“, przemieniciela wartości.

Z łatwością znaleźć można taki punkt widzenia, z którego to samowienienie się przestanie wydawać się małością lub słabością. Tak bezwzględny i bezceremonialny stał się Nietzsche wobec wszyst-

kich powag świętości i filozofów dzisiejszego ustroju świata, że mógł bezceremonialność tę przemienić i na pychę. Zerwał i potargał wszelkie więzy ugody i etykiety, wszelki konwenans etyczny i literacki. W gruncie serca czuje taką pogardę dla całej opinii swego otoczenia, to znaczy niemieckiej, że wobec niej nie raczy być skromnym i nie zadaje sobie trudu liczenia się z słowami i państwem bojaźni Boga i dobrych obyczajów.

Jednem ze źródeł tych uczuć i pojęć u Nietzschego jest niewątpliwie to zdecydowane, heroiczne wprost stanowisko wobec Niemiec. Zdaje się, że nowoczesny duch pruski wyhodował w nim wszystkie owe żądła i wyostrzył ową damasceńską klingę jego mowy. Zaszło tu zjawisko podobne bardzo do owego, które daje Byron z swym Don Juanem. Jak tamten w Anglii, tak ten w Niemczech widzi odwrotną stronę prawdy — kłamstwo. Jak tamten w swojej, tak ten w swojej ojczyźnie miał swój wielki eksperyment życiowy, swą wielką szkołę na wspan. Niemcy to jego choroba, taka sama, lecz nieskończenie dłuższa i rozleglejsza, jak te rozpoczęte ostre choroby ciała, podczas których jak opowiada, skupiał się w sobie i „zwolna się wyzwał“. W chorobach takich święcił swój powrót do siebie, swoje istotne „ozdrowienie“.

Dlatego nie wybaczają nikomu z swych mistrzów, braci po duchu, intelektualnym nawet krewniakom, jeśli są Niemcami, i bystrem okiem dostrzega ich niespodzianie wynurzającą się niemieckość. Wagnera kochał i wielbił; „Trystana i Izoldę“ czcił jako dobrodziejstwo, wyższe nad wszystkie skarby Leonarda da Vinci, godzinę śmierci Wagnera nazywa „świętą“, ale litości nie ma dla jego „Parsifala“ i dla wszystkich ukorzeń przed idealizmem niemieckim. I dla tego samego łamie dawną swą wiarę Schopenhauerowi, z którego się wziął, gdyż nie znosi jego „karawaniarskiego pachnidła“ i nazywanemu na równi z innymi, jak Kant, Fichte, Hegel, Schleiermacher — fałszerzem monet i tkaczem zasłon (po niemiecku: Schleiermacher).

Nietzsche nienawidzi idealizmu, a przyczyną tej nienawiści jest to, że on zohydza życie — moralizuje, niweluje i zatracza „wielkość spojrzenia“, i bodaj to, że jest doktrynalnym, szumnym upiększeniem rzeczy zgoła nie idealnych. Myślę, że nie tylko zagłada poczucia heroizmu i rzeczywistych dziejowych bohaterów mierzi Nietzschego w systemach niemieckich, lecz i obłuda państwowa, z którą ów idealizm tak doskonale się brata, i niemniej obłuda kościelna.

„Niedawno pewne zdanie idyoty in historicis, zdanie zgasłego na szczęście estetycznego Szwaba Vischera, obiegło czasopisma nie-

mieckie, jako „prawda„: „Renesans i reformacja, oboje razem tworzą dopiero całość — odrodzenie estetyczne i odrodzenie obyczajowe“. Wobec zdań takich kończy się moja cierpliwość i czuję ochotę, uważam nawet za obowiązek, powiedzieć Niemcom wszystko co mają na sumieniu. Wszystkie wielkie zbrodnie kulturalne czterech stuleci mają na sumieniu!.. I zawsze z tego samego powodu, z najwnętrznego tchórzostwa przed rzeczywistością, które jest także tchórzostwem przed prawdą, ze zmienionej u nich w instynkt nieprawdziwości, z „idealizmu“.

Przyuszczając, że bezwzględna negacja Nietzschego jest powszechnie znana i nikogo już nie zgorzyszy, dla dokładności i pełni obrazu przytoczyć się godzi i to:

„Luter, ten mnich złowieszczy, przywrócił Kościół i, co po tysiąc-kroć gorsze, chrześcijaństwo, z chwilą, gdy ono ulegało... Chrześcijaństwo, to w religię wcielone zaprzeczenie woli życia... Luter, mnich niemożliwy, który z powodu swej „niemożliwości“ na Kościół napadł — i — przeto! — go przywrócił... Katolicy mieliby powody święcić uroczystości lutrowe, pisać widowiska lutrowe...“

„Niemcy przez swoje wojny o wolność pozbawili Europę sensu, cudownego sensu w istnieniu Napoleona, — mają przeto wszystko, co nastąpiło, co jest dzisiaj, na sumieniu, tę najbardziej przeciwną kulturze chorobę i nedorzecznosc, jaka istnieje, nacjonalizm, tę *nevrose nationale*, na którą Europa choruje, to uwiecznienie drobnopanstwowości europejskiej, małej polityki: pozbawili Europę nawet jej sensu, jej rozum — zawlekli ją w ulicę bez wyjścia...“

Jasnym jest, że człowieka, który tak przemawia, „nie odkryto w kraju płaskości europejskiej, w Niemczech“. Odkryto go wszędzie indziej — i u nas też, w Polsce.

Być może, iż Nietzsche dla tego w końcu równowagę umysłu stracił i lata ostatnie w zupełnym mroku ducha przeżył, iż kulturą niemiecką poprostu oddychać nie był w stanie. Dusił się on w powietrzu niemieckiej filozofii, niemieckiej krytyki, niemieckiej... kuchni. Ale niekoniecznie gastronomia narzuconych mu, jak twierdzi, rodaków truła go. Jeszcze przed zejściem do spraw smaku i odżywiania, w których był również wybrednym i bez wyszukania subtelnym, cierpiał na niestrawność.

„Dla mnie, com jest, jaki jestem, wszystkiemu, co niemieckie, tak obcy z najgłębszych instynktów, że już bliskość Niemca przewleka mi trawienie, było pierwsze zetknięcie się z Wagnerem także pierwszym w mem życiu zaczerpnięciem powietrza: odczuwałem go, czci-

łem go jako zagranicę, jako przeciwieństwo, jako ucieleśniony protest przeciw wszystkim „cnotom niemieckim“.

Organizacja psychiczna Nietzschego jest biegunowo przeciwną niemieckiej. Nie znosi on poczucia niwelacji i równości, nienawidzi „mruków“. Drobnomieszczaństwo i pycha dorobkiewiczowska rażą go i do krwi ranią. Natomiast szczęśliwym się czuje w arystokratycznym Turynie lub w samotności alpejskiego szczytu w Engadynie górnym. Obcuje duchem z Francuzami i po za kulturą francuską żadnej innej nie uznaje. Nie ufa złożonym systemom filozoficznym i uważa je za nieuczciwość; rzetelni są tylko sceptycy. Z głębokości Kanta się śmieje.

Nawet organizacja fizyczna Nietzschego zdaje się być antypodyczną w stosunku do typu niemieckiego. Stworzony jest do pracy na powietrzu; radzi nie ufać żadnej myśli, zrodzonej w gabinecie; czytanie książek w poranek letni nazywa zbrodnią; zawsze i wszędzie szuka wolnego tchu. Jego higiena życia i życia twórczego jest zdumiewająco mądrą i przekonującą. Widoczna, że całą kulturę niemiecką uważa za produkt nieczystych jelit. O języku niemieckim twierdzi, że zgałganiał: „Dziś udają purystów, a nie umieją już jednego zdania zbudować“.

Nietzsche jest człowiekiem rasowym, istotnym dionizyjczykiem. Zdobył się na tę wysokość upodobań, śmiałość giestów, niezawodząca nigdy wytworność, że choć zwierza się ze wszystkiego i nawet negliż swój pokazuje, nie przestaje być pięknym. Każdy inny, zwłaszcza Niemiec, gdyby tyle mówił o żołądku i o dyetetyce, stałby się płaskim i trywialnym; twórca Zaratusztry nigdy nim nie jest.

Umiał on wszystko w swej naturze upiększyć słonecznością siły i dumy. Chorowity i chorujący nie poświęcił swego pióra cierpieniu, nie zaszczylił choroby zbytnią uwagą, lecz ją swym kunsztem przemieniania wartości przetworzył na proces oczyszczający, skupiający. Z choroby wyniósł tem większe uwielbienie dla zdrowia i życia i tego wszystkiego, co daje środowisko natury szczytowej, słonecznej, „suchej“, przyjaznej. Słusznie podnosi sam lazurowe otocze swoich pism i wie, że w nich jest pewien, jak mówi Riehl, plein air, pewien szeroki rytm, w którym człowiek czuje się jakby upojony ozonem.

„Instynkt wrócenia do zdrowia — mówi, podnosząc swój anti-dekadentyzm — zabronił mi filozofii ubóstwa i zniechęcenia... A potem poznaje się w gruncie, że człowiek się udał! Po tem, że człowiek udały mile nam działa na zmysły: że wyrzeźbiony jest z drzewa, które jest twarde, delikatne i wonne zarazem“.

Jak prawdziwy osobnik stylowy, nie zapomina nigdy o fizyczności, a boowaniu jego nie obcą jest szermierka rycerska. Z zadowoleniem wspomina, że walczył w wojnie niemiecko-francuskiej; w tem wszystkim, co mówi, znać intuicyę siłacza, aczkolwiek nim nie jest, i wzgardziela zwiotczających muszkułków. Jego skoki i ruchy przy harcach z przeciwnikami, a właściwie z niecierpianymi dogmatami, są sprężyste, takie „zniecka“, jak pchnięcia szpady. Chwali swą przebiegłość i odwagę i zaleca radę Stendhala, ażeby wstęp do społeczeństwa otwierać sobie pojedynkiem.

W duchu Nietzschego płyną pierwiastki duchów Woltera, Byrona i Heinego. To są jego prawzory. Pyszni się tem, że jest tak samo „wielkim panem“ jak Wolter; oburza się na tych, co śmiają stawiać „Fausta“ obok „Manfreda“, o Heinem zaś woła, że napróżno przez wszystkie wieki szuka muzyki równie słodkiej i namiętnej. „Heine i ja byliśmy zgoła pierwszymi mistrzami języka niemieckiego — niezmiernie odlegli od wszystkiego, co czyści Niemcy z niego uczynili“.

Jednak o tem pamiętać należy, że więcej jest podobieństwa między Nietzschem a wielkim gwiazdozbiorem prometeizmu romantycznego lub poromantycznego, niż wpływu Nietzschego na ściśle współczesnych.

Tamto podobieństwo było powinowactwem. Nietzsche jest w pewnym sensie dalszym ciągiem Byrona, Goethego i Heinego. Z Don Juanem i Manfredem, a zwłaszcza Sardanapalem łączą go ściśle węzły radosnego rozlewnego człowieczeństwa, heroiczny rażny hellenizm z podniesioną ku słońcu głową. Jeśli siebie nazywa ostatnim uczniem Dionizosa, to zapewne dlatego, że wie, iż byli i inni dionizyjczykowie, przedostatni, a nadewszystko idealny sowidzrał-faun w ścisłym znaczeniu słowa, Don Juan Byronowski. Analogie są tak wielkie, pokrewieństwa, zapewne i u wspólnego pnia Wolterowskiego poczęte tak blizkie, że powinnyby być oddawna przedmiotem osobnych studyów, gdyby samo zestawienie imion nie odsłaniało już odrazu całej rozległości analogii i nie czyniło ich poniekąd zbyt technicznymi. Promieniotwórcze oktawy Don Juana to rymowane pendants do wersetów Zaratusztry i aforyzmowe błyski innych pism Nietzschego. Ścisłe jednakowanie się bohaterom, nieskrępowany jak centaury, obłudzie świata i poprostu tratowanie tańczącemi kopytami dostojnej Europy, tam, u Byrona, wcielonej w Anglię — tu w Niemcy*)

*) Czytelnik uznać pewnie raczy za rzecz naturalną, iż go odesłać do książki mojej, jednej z wcześniejszych p. t. *Wszechpoeemat i najnowsze jego dzieje. Promete-*

Oczywiście podobieństwo to nie rozciąga się już do podłoża ideologicznego.

Byrona od Nietzschego dzieli kilka pokoleń ewolucji ideowej. Dla innego społeczeństwa stworzony jest Zaratustra, dla innego Byron. Zaratustra musi rozsądzać mury więzienne zeskorpiałej, zeszywniałej w dogmaty ludzkości, musi ją uczyć i aby być zbożnie słuchanym, uciekać na samotne turnie alpejskie; przekonywać filozoficznie i poetycko. Byron zaś działał w atmosferze ducha, bądźco bądź wiewnej, rozkołysanej przez niedawną rewolucję i krwią czterech milionów napisane epos napoleońskie. Byron sekundował raczej dionizyjskim tańcem i śpiewem, akompaniował niezamarłemu jeszcze ruchowi pojęć i niezastygłej jeszcze walce nowych tablic z średniowiecznymi, Nietzsche natomiast znalazł się wobec społeczeństwa już stęzającego w nowoczesny układ: miernoty i przeciętności. Dzieło jego było i jest trudniejszym i więcej w głąb' schodzącym. Byron był jak dozorca faraonowych robót, który stał nad niewolnikami i świstem batoga zmuszał do pracy i kończenia rozpoczętych budowli. Nietzsche podjął się iście szalonego, zgoła niepoczytalnego zadania, rozwalenia nowych ciężkich pojęć, które oblepiły ziemię nową skorupą. Ideowo stał na biegunie przeciwległym Byronowi, lordowi, przelewającemu krew za wolność Grecji i demokrację, obrońcy robotników; onby raczej przywrócić chciał panowanie dawnych tablic i praw arystokracji, odnowić zdetronizowaną krew błękitną, wprowadzić nie w imię przywilejów — na to, jak widzieliśmy, był zanadto dobrym uczniem historii — lecz w imię rasowych nateżeń ducha i bezsfornych objawów potęgi.

Lecz — refren ten powtórzyć trzeba — łączy obudwu wspólne nadezłowieczeństwo. Przebyło ono u Byrona okres demonicznie-romantycznej, obrażonej pozy Manfreda i Giaura i wszystkich jego wschodnich „byronicznych“ opowieści i przerodziło się w wysoką sztukę dionizyjskiego tańca, w dowcip i szal pieśni. Cały Don Juan jest „Pieśnią pijaną“ na swój sposób. W wielce zbliżony sposób prze-

i ści, u której podstawy leży studjum o Byronie. Na szerszą skalę zakrojony tam wizerunek angielskiego poety, pojęty jest w ten sposób i niemal w ten sposób przedstawiony, że mogłyby się stosować do niego wszystkie elementa, cechujące Nietzschego a przedewszystkiem „Wille zur Macht“. Bardzo łatwo nawet można by mię pomówić o zostawianie pod nazbyt silnym wpływem Nietzschego w owym okresie — gdyby zarzutu tego nie stępiała zawczasu data wyjścia mojej książki jak i rysów pojedynczych, które się na nią złożyły. Gdy w umyśle moim W s z e c h p o e m a t się rozdził, nie dobiegały jeszcze do nas nawet pierwsze hasła Nietzschizmu i gdybym był już wtedy jako tako weń wtajemniczony i oświecony jego światłem — nie odmieszkałbym zapewne — jak każdy inny zresztą autor — pokwapić się z objawieniem analogii między Byronem a Nietzschem. Wartość pracy mojej zdwoiłbym w ten sposób, albowiem nie tylko syntezę dawałbym Byrona, ale w dodatku i doniosłe zestawienie z geniuszem pokrewnym.

tworzyli obadwaj podłoże myślowe na największy wdzięk słowa, prosto potrafili zatopić nici ideologii jakiegokolwiek w świetlistym odmieście czystego piękna i kaskadowości niedającego się w żadne pęta idei ująć — życia i jego płonącej rozkoszy.

We krwi zaś Nietzschego płynie krew polska. I ten fakt, wyraźnie i niedwuznacznie przezeń z uczuciem chłuby podnoszony, jeśli jest prawdą rzeczywistą, a nie prawdą na przekór Niemcom, objaśniałby istotnie i realnie całą ową tężyźnię i wszystkie narodowościowe sympatyje i krewieństwa, antypatyje i przeciwieństwa. „...Przodkowie moi byli szlachtą polską: stąd to posiadam we krwi wiele instynktów rasowych, kto wie? może nawet liberum veto? Jeśli pomyślę, jak często w drodze przemawiają do mnie jako do Polaka i to Polacy sami, jak rzadko biorą mnie za Niemca, to mogłoby się zdawać, że należę tylko do Niemców nakrapianych“. Tylko z matki jest Niemcem.

O tem, jakie wrażenie miłe sprawia jego pojawienie się na ulicach ukochanego Turynu, powiada: „...Stare przekupki nie mają spokoju, póki mi z winogron swych nie wyszukają najśłodszych. Tak dalece trzeba być filozofem... Nie napróżno zwie się Polaków Francuzami wśród Słowian. Powabna Rosyanka nie pomyli się ani na chwilę, gdzie mnie zaliczyć“.

„Ja sam zawsze jeszcze nazbyt jestem Polakiem, by za Chopina nie oddać całej reszty muzyki“.

II. ZARATUSTRA.

Już to samo, iż Zaratustra jest apostołem, nauczycielem i wielkim pustelnikiem, wskazuje, że ideał nadezłowieka w Nietzschem wydstojniał i uduchowił się. Nie zdobywca to już, pędzący w złocistym rydwanie po zasłanem trupami pobojuwisku, lecz mocarz ducha, krewny Zoroastra, Buddha, Mojżesza. To mędrzec, zwiastujący nowego człowieka okiem ostrowidza, słowem, muzyką przypowieści, złotym humorem słonecznych promieni. To czciciel słońca i górskich widnokręgów, który mieszka tak wysoko, ażeby doń niedochodziły nieczyste opary nizin i — przeszłości.

Ponieważ Nietzsche to nie jakiś anioł upadły, bezpłodnie spiskujący przeciw niebu, lecz budowniczy nowego zakonu, więc księga Zaratustry jest właśnie tym nowym zakonem. Ażeby zaś był godnym stać na granicy wieków i zagłuszać wszelkie dawniejsze święte pisma

— mędrzec i poeta Nietzsche nadał mu formę, zdolną czarować ludzi dzisiejszych, opornych już na różne uroki. Zebrał tedy wszystkie blaski i zadumane mgły otaczające turnie, i tchnął je w swoją mowę, rytmiczną, dźwięczną jak metal, bogatą jak natura, ożywił ją porykami żywiołów i zwierząt i stworzył coś jak gdyby rajski zwierzynek. Kwitnie tam jego mądrość i dowcip, wesele i zamierzchy chwilowe duszy, rozmowy jasne i pouczające objawienia, i wywijają się jedno z drugich jak „nieskończona melodia“. W tej ogrójkowej atmosferze wszelkie rozumowania i oderwania przedzierzguły się w żywe symbole ludzi i zwierząt, jak bywa, że nieuchwytnie i rozpierzchłe obłoki zwijają się w znajome, zrozumiałe kształty.

Jestto jedna wielka Pieśń nad Pieśniami — złożona z pieśni pomniejszych, arystofaniczne Chmury, Ptaki i Żaby wyszydające społeczne fałszywe bóstwa: państwo, władzę, ich filary, świeckie i duchowne, zaświatowców-mystyków, kaznodziejów enoty i t. p. Wszystko co pęta indywidualną dostojałość człowieka, udzielnosc jego duszy, wolę mocy i wolę szczęśliwości — obrócone tu jest w proch. Zaratustra chce wyzwolić jednostkę, uczynić człowieka wolnym i po przez ból idącym ku szczęściu. Ogromnym tchem swej potężnej życiodawczej woli — płoszy z nieba chmurę zaszepu. Czując, że nad światem rozpostarł się całun żaloby i skarga beznadziei, że ludzkość spowiła się ogromnem czechłem pesymizmu, roztacza przed nami tyle światła i słońca, tyle żniwnej żywności i faunowej, szczytnej beztroski, wypełnia wędrówkę swą życiową takim bogactwem dzieł i rozumu, taką rozległą żądzą wielkiego jutra — że nas leczy, koi, przykładem swym porywa, że rozpacz i zwątpienie wobec niego gasną i blakną, wietrzeją, jako rzeczy biedne i beztreściowe, przebyte i banalne.

Wielki Alp pesymizmu i bezcelu, który tłoczył pierś ludzką od tyłu wieków a zwłaszcza w stuleciu ostatniem, wobec Zaratustry zdaje się pierzchać jak ciemna moc. A stało się to nie za sprawą misternych wywodów, argumentów, dyalektyki — o nie. Nietzsche uważa, że dyalektyka to rzecz gminna, plebejska — lecz przez bezpośrednią suggestyę przebogatej w treść osoby boskiego człowieka. Smutek — smuci; upojenie — upaja; świetlany rozum — rozjaśnia. Z tych werwetów natchnionych idzie na nas groźna otucha, brzemienne słońcem ale i zadaniem, górnym lotem ale i przyziemną mądrością. To też najdrożsi towarzysze Zaratustry — to orzeł i wąż. A człowieka chce mieć mężnym jak lew, objuczonym i zdolnym do dzwigniania jak wielbłąd, naiwnym jak dziecko.

Kwintesencją tej nauki jest owa „Pieśń pijana“, w której, zawsze kołysząc się na rytmach dyonizyjskiego dytyrambu — „ściska, nateża i razem wyswieca“ — mówiąc słowami Mickiewicza — i swą najwyższą prawdę i zarazem najwyższą muzykę. Jest to owa chwila północna zupełnej samotności, kiedy uprzykrzyli mu się nawet „ludzie wyżsi“ i natrętnem i poufałem wydało się nawet słońce, i zapragnął czarnomodrego bezbrzeża nocy. Wtedy to wyspiewał coś w rodzaju wielkiego Chopinowskiego nokturnu o głębi świata, o potędze bólu, o wyższej jeszcze potędze rozkoszy, o wieczności. Końcowe rymy tych tablic rzuca w pomrok nocną jako uderzenia zegara i brzmia też one wyrocznie, wszechbożo, pamiętnie, nastrojone tajemniczo, z prąglebin bytu idącą pobudką: Człowieku słysz! Coś brzmi z północnej głębi wzwyż...

Z początku każdy z tych wierszy jest tylko zakończeniem, finałem dytyrambu filozoficznego, a potem twórca finały te odrywa i grupuje w północny, uroczysty głos, jakoby z wieżycy niebotycznej, przez starożytny kurant wygrywany, niewątpliwie godny hymnów wedyckich.

Od początku do końca dzieło to jest usuwaniem trupów. Jak owego linskoka, który spadł i kark skrzył, Zaratustra najpierw próbuje uleczyć, a potem umarłego chowa w dziupli starego drzewa — tak grzebie w próchnicy stare tablice. Stale jest mu gwiazdą przewodnią miłość dla nadczłowieka i dla niej nieraz cierpi i łzy roni. I tylko jedno jest w nim nie tak wielkie, jak wszystko inne — okrucieństwo wobec tych, co go niemal ubóstwiają, i zaciętość wobec ludzi. Jego marzenie to pobratać się z lwem, i oto w chwili, gdy nawróceni półmędrce, były papież, były król, czarodziej i cała rzesza już mu prawie do nóg padają, — pod ręką swą wyczuwa nagle kudły łaszącego się lwa, rozlega się ryk, i rzesza pierzcha.

Prawda, że ta niewiarą w ludzi, choćby najprzedniejszych, podnosi, jeszcze swój urok boskiego anachorety i boskiego samotnika. I księga niekończy się ugodą lub pojednaniem — lecz nieprzejednaną fugą dumy uporem niefolgującego ani sobie ani innym mistrza.

Bo ze wszystkich mielizn i płaszczyzn, które wyżenać pragnie z tego świata — najwstrętniejszą mu jest poufałość, zatracanie siebie w czułościwej miłości, przedrzeźnianie się wzajemne ludzi bliźnich, skuwanie się przykazaniami. Woli miłość dalekiego niż bliźniego i rzucanie uczuć na wielkie odległości, niż na małe.

„Człowieku, twardym bądź — wyraża przedewszystkiem hasło indywidualnej oporności przeciw społecznym podjadkom duszy, godło twórczej tężyzny. Egoizmu, który tak często w twarz rzucają Nietzschemu ludzie, bardzo miłośni i bardzo obłudni, nie szukać w Za-

ratustrze. Zostawia on dla siebie nie więcej bodaj od świętego Franciszka z Asyżu. Zaratustra czuje się pszczołą, zbarconą miodem — i przeto rozdać go musi. Otóż każda taka brzemienność sokami życia sama przez się prowadzi do promieniowania uczuć na innych.

I podobnie opętać się może nadczłowiekowi przed wszelką mądrością, choćby ze źródła mu pokrewnego wytrysła, jeśli tylko stężała, zakrzepła w szkołę, w doktrynę, w przymus. On sam siebie się wyrzece, jeśli się ujrzy w zwierciadle pokrzywionem.

Dusza wolna i prężna jest wrogiem szematyzmu. Gdy ktoś próbuje włączyć wieloczołwieka — Nietzschego w ramy i kategorie, naraża się na to, że rozkraje wspaniały kwiat aloesu na bezduszne, wędle płatki. Śmiesznem jest mówić, że jest antypesymistą, antichrześcianinem, antidemokratą, antifeministą i t. p., i to uważać za portret duchowy Nietzschego. (A tak właśnie czyni np. Vajhinger, filozof akademik, stonsunkowo jeszcze najmniej bakalarski). Bo owe „anti“ — możnaby mnożyć do nieskończoności. Obejmując całą niezmierną skalę potęgi i twórczości — prorocstwo Nietzschego zawiera zaprzeczeń setki, jak i setki afirmacji. Lecz nadewszystko należałoby wówczas dodać jedno jeszcze „anti“ — antinietzscheizm. Tak jest. Twórca Zaratustry — bywa i przeciwnikiem nietzscheizmu.

To niby sprzeniewierzenie się samemu sobie — ale tylko na pozór. Właściwie zaś tylko trzyma on od siebie zdala wszelkie duchy nieczyste, imitatorum pecus. Zobaczmy kilka tych „sprzeczności“ — tkwi w nich nauka może najświatlejsza.

Jeśli by kto chciał z tańca Zaratustry powysnuwać wnioski cyniczne, samolubne, małe, gnuśne i syte, on odpowie mu krzykiem, że życie jest to wieczne przemaganie się, przewycięzanie — i odą wieczystą do woli, która nawet wobec grobów napina się ku przyszłości i tworzeniu.

Jeśli by jaki arystokrata chełpił się swem z Zaratustrą braterstwem, on go pouczy o motłochu na dole — i motłochu na górze. Gdyby szukał w tej księdze potwierdzenia przywilejów społecznych — znajdzie nadewszystko przypowieść o pękatej butli której, jeśli wąską szyjką sączyć będzie — dziś w dobie buntu niewolników — łatwo tę szyję ukręca. A i przedtem jeszcze szeptał „konserwatystom na ucho“: nie bądźmy rakami! Gdy się raz rozpętało żądze — już tego potoku wstrzymać nie można — kroczyć trzeba dalej po drodze równości i dekadencji.

Gdyby antyfeminisci myśleli, że Zaratustra urąga kobiecie, i przytaczali owo słynne: „idziesz do kobiet, nie zapomnij bata“ — znajda,

wczytawszy się uważnie, że ta niższość kobiety jest wynikiem jej długiego niewolnictwa i tyranstwa, i że ty, mężczyzno, nie jesteś bynajmniej bardziej niż ona dojrzałym do wzniosłych węzłów przyjaźni.

Kto był o tyle naiwny, że na zasadzie pism Nietzschego wyobrażał sobie, iż on był wrogiem kobiet — w *Ecce homo* znajdzie gorszące dowody zupełnej pogańskości. Nie naiwni wiedzieli i przedtem, że wrzekoma owa wrogość polegała jedynie na zalecaniu ostrej, zdobywczej taktyki wobec kobiet, na znajomości ich żądy pana, ale nie na wyrzekaniu się niewiaśc, lub zgola niechęci do nich...

Gdy kto daleko zapędzi się w plwaniu na miasto, jego bagna, jego bezdech, jego podłość, i mniema, że tem wymyślaniem wzniesie się do wyzyna nadczłowieka, Zaratustra nazwie go błaznem i małpą i zapyta, czemu nie minął bagna, czemu sam rzechoce jak świnia, czemu lepiej nie uszedł w lasy.

„Dla czystego wszystko czyste — dla świni wszystko świnia“ to jest wogóle przewodni kierunek wszystkich tych pięknych parabol, formuł niezliczonych a czystych i dobitnych, błyskawicowo jasnych, dowcipnie ostrych swą dosadnością i jakimś igrająco karykaturalnym rysunkiem. — Zaświatowcy — to ci, co zachodzą świat od strony zadu, kaznodzieje cnoty, co śpią tak tęgo, że można się od nich przez ścianę zarazić chrapaniem.

Jeśli by kto myślał, że on rozzewnętrnił się cały i rozdarował na swe mistrzowanie, na głoszenie swej nowiny — z zadziwieniem i wzruszony ujrzy w nim raz po raz samotnie tęsknicy i smętne zmierzchowe rozmowy z duchem własnym, ze wspomnieniami, w swą zorzaną melancholią. Żeby zaś nie myślano, że go przytłacza ciężar jego wielkiego posłannictwa — szydzi w całych pieśniach z „ducha ciężkości“ i przedstawia siebie samego często w sylwecie rozmyślnie komicznej, np. uciesznie drepcącego za którymś ze swych gości. Jeszcze chwila a zostanie sowizdrzałem.

Zawsze i wszędzie uderza niespodzianką, wyblaskującą nagle jak kometa, i krzyżuje plany i zadowolenie z rzekomego poznania Zaratustry. Poznać swej niewymierności nie daje nikomu, udziela się tylko na chwilę i częściowo a dno duszy chowa dla siebie samego. Zaś uczniom swym odsłania wszystkie spleśniałe kryjówki, z których zatruty dech mógłby wionąć na wolność i dostojność. Spoziera na wszystkie strony, żeby tylko nie dopuścić robactwa na swoim kwitnącem drzewie.

Wyjaśnijmy to bliżej, albowiem przez to samo zarysuje się pełniej znaczenie Nietzschego dla wyzwolenczych instynktów duszy ludzkiej.

Trzeba odróżniać śmierć od procesu wickuistego drętwienia i skorupienia — powiedzmy sobie. Śmierć jest złem najmniejszym, aktem tak energicznym życia, że naturą ludzką wstrząsa i nigdy jej zastępnąć nie pozwala. Lecz gorszym jest ów proces skorupienia — z niego bowiem, niestety, składa się bytowanie społeczne i cywilizacyjne człowieka. Ta kolej życia duszy i umysłu, którą wytycza jednostce społeczeństwo, składa się z systemów, dogmatów i szematów. Dusza nasza ustawicznie porasta nowotworami zewnętrznych nakazów lub krystalizacyami wewnętrznych instynktów w zasady i imperatywy. Usiłujemy skuwać życie w formy, których ono z natury swej nie znosi. Albo raczej ujmujemy je w siebie zapomocą form, które już jutro pokażą się błędnymi. Osaczają nas ze wszystkich stron formuły: ze strony polityki, filozofii, religii, moralności. Wszystkie one wtłaczają nasz umysł w stałe pojęcia, które nieubłagane życie stałą a niespodzianą swawolą rozbija.

Określano ongi życie jako „walkę ze śmiercią“; jest to biologiczny sprytny skrót, kolumbowe jajko w odpowiedzi na definicyjną „piłę“. Na wzór tego można określić życie duszy — jako walkę z nowotworami formuł. Wtedy pojęcie życia urośnie tak wysoko i roztoczy się tak rozległe, wtedy istota jego stanie się taką tajemnicą nieokreślonej jakiejś psoty, albo taką niesłychaną powagą tragicznego majestatu, nieznoszącego ludzkich dogmatów, że jego czar i płodność wzmoże się do niedościgłych i nieobjętych granic powabu.

Takiego życia orędownikiem jest właśnie Nietzsche. Jest on lekiem na nowotwory i pod promieniami jego rozkładają się tkanki rakowate duszy ludzkiej. On jest tym, który wyczuwa chwilę, kiedy myśl staje się martwością, dogmatem — i niszczy ją. On ma ten jasnowidzący, jedyny bodaj od wielu stuleci, jeśli nie w ogólności, dar zanurzania się w ową świetlistą toń życia, jako bezkresu możliwości, które urąga ograniczeniom ludzkich zeskorpowań. Gdy myśli jego tracą „krasę, młodzienczość i surowość“, kolce swoje i hojne drażniące wonie, odrzuca je precz.

„Jużeście się wyzuły z nowości i są wśród was takie, które ku zatrwożeniu mojemu mogą stać się dogmatami: tak dalece wydają się nieśmiertelnymi, tak rozdzierająco rzetelnymi, tak bardzo nudnymi. I czyż kiedykolwiek było inaczej? I cóż bo wypisujemy i odmalowujemy my, mandaryni z chińskimi pędzlami, my uwieczniciele rzeczy, które dają się napisać, bo i cóż takiego jedynie możemy odmalować? Ah, zawsze tylko to, co się chyli ku uwiednięciu i poczyna woń tracić! Ah, zawsze jeno mijające i wyczerpane wichrzyce, uczucia zżółkłe i przejrzałe!

Ah, zawsze tylko ptactwo znużone i obłąkane lotem, dające się nakryć dłonią — i to naszą dłonią! Uwieczniamy to, co już nie może żyć ni latać dłużej, jeno rzeczy zrysowane skazami sumienia i spróchniałości!..“ (Poza dobrem i złem. Dusza dostojna.)

Zarzut stawiany Nietzschemu, że nie pojął zasadniczo dynamiki naszych czasów — jest niesłuszny. On go pojął w zupełności, gdyż jak widzieliśmy, tem właśnie celuje i z pomiędzy wszystkich się wyróżnia, że bieg historii, ducha wiecznie rewoltującego się przeciw ustanowieniom wczorajszym nawet — a cóż dopiero przedwczorajszym, przedziwnie odczuwa i pojmuje. Nietzsche nie narzuca ludzkości systemu — system rozbiłby sam, jak wszelką inną tablicę — tylko pierwiastek pewien, element wiekuistego, stałego odradzania i rozświetlania. Działanie jego jest przeto w odmiennym sensie twórcze i reformujące — możliwe jest przy pomocy pewnych umysłów-przewodników.

Jego system to zapełnienie jaźni ludzkiej innymi walorami, o wiele bogatszymi i mocniejszymi, to zreformowanie nie społeczeństwa, lecz indywidualności ludzkiej, zapoczątkowanie nowej formacji dusz, odnowienie Fidyaszowych proporcji człowieka, co samo przez się już na żart lub romantyzm w czasach naszych zakrawa. Jako reformator dogmatyczny, Nietzsche nonsensem byłby, przeciwstawieniem właśnie wszystkiego, co jest stwarzaniem nowych praw. Jego reformę porównać można byłoby co najwyżej do roboty budowniczego Odrodzenia Bramantego, którego nazywano burzycielem, il rovinante, tak u niego walenie w ruiny było warunkiem stwarzania nowych kształtów.

Nietzschego system to odmienny, nowy człowiek — nadczołowiek, który nie zejdzie do społeczeństwa po widomych stopniach, żeby się z nim złączyć organicznie w jedną masę, lecz co najwyżej może mu swej siły, swej żądy siły, żądy psychicznego orgiazmu, nastroju dytyrambicznego, przeciwboskiej absolutnej niezawisłości, mocy stwarzania siebie samego — uzyczać drogą zapalającej inne duchy sugestyi. W tem znaczeniu jest i musi pozostać samotnikiem i szczytem, w którym może kultura będzie nieraz na całe epoki zapominała, jako o czemś zupełnie jej obcym, nie krewnem. Ona o nim już zapominała. Gdy duch Woltera, Rousseau'a, Kanta, Byrona, rozszedł się po świecie, i został przezeń wchłonięty niemal bez reszty, wcielony w urządzenia, wchłonięty w filozofię i etykę, — Nietzsche figuruje jeszcze w samowiedzy ogółu literatury jako twórca zbłąkany i bezmocny.

Oto dlaczego tylko na pojedyncze krótkie interwalle poezya lub filozofia przyswaja go sobie. Jest zanadto płynieniem przeciw wodzie,

pod prąd. Chwilowe wstrząśnienia lub nawet tylko drgnienia, wywołane dotknięciem jego elektrycznej natury — są tylko drgnieniami. Nie widzę nikogo, któryby na dłużej i węższej skale jego wyzwoleń ogarnął. Jest ona na to za obszerna. Nawet polska poezja chwile tylko zapożyczała od niego i co prawda dziwne byłoby, gdyby było inaczej. Afirmacja spotęgowanego życia musiałaby się u nas raz po raz potykać o groby, nowo co dnia wyrastające. Świat co lat kilka zamieniać próbuje byt nasz na cmentarz — i powody przedsmaku śmierci i żałoby nam daje — jakżeby na tle takich całunów wyglądał taniec Dionyzosa?*)

CEZARY JELLENTA.



*) Cytaty według tłumaczeń Berenta, Staffa, Wyrzykowskiego.